


# LECH
## Tygodnik Illustrowany

Nr. 37. Poznań, dnia 13 Września 1879. Rok II.


## Kilka mniéj znanych szczegółów o Zygmuncie Krasińskim.

Dziwne to zaiste zjawisko, że prawie nasi wszyscy najznakomitsi mężowie, mianowicie z ostatnich czasów, nie są przekazani potomności jako wzór poświęcenia, miłości Ojczyzny i pracy w dokładnie opracowanych życiorysach. I tak np. Czarniecki, ów drugi wojownik polski po Bolesławie Wielkim, nie znalazł dziejopisa, któryby opisał wielkie jego czyny*). Daremnie się oglądamy za biografią Kościuszki mimo że wiele o nim napisano. Nie mają odpowiednich życiorysów: Staszic (choć jest o nim kilka prac szacownych), Lelewel, Mickiewicz, Krasiński, Marcinkowski i inni. „Wszyscy niemal robotnicy téj wielkiéj winnicy, którą krwią i znojem i łzami podlewali", jak pięknie pisze St. Tarnowski, czekają jeszcze na wspomnienie, tylko jeden „Słowacki na pomnik, który jest zarazem i wielkim pomnikiem w Literaturze". Mowa tu jest o pięknym życiorysie Juliusza, napisanym przez Małeckiego. Takich życiorysów bodaj kilka nasza Literatura posiada, (do tych zaliczamy np. pracę Przyborowskiego o Kochanowskim). Kiedyż Mickiewicz i Krasiński znajdą podobnych biografów?

Jedną z przyczyn, że ci dwaj mianowicie wieszczowie nie doczekali się jeszcze podobnego wspomnienia jak Słowacki, jest brak bliższych szczegółów o ich życiu. Małecki posiadał w ręku cenne listy Juliusza, tymczasem maleńka dopiéro cząstka obszernéj korespondencyi Krasińskiego jest znana, i to srodze pokaleczona, a przecież pozostało po nim kilka tysięcy listów. Pisma nawet jego z młodzieńczéj epoki były zupełnie nieznane. Otóż na teraz wypada gromadzić materyały do życiorysów naszych zasłużonych mężów, a znajdzie się czasu swego polski Plutarch lub Plutarchowie, którzy uwiecznią pamięć naszych chlub ojczystych.

*) Znamy pracę Krajewskiego, ale jestto raczéj materyał do życiorysu, niż wyczerpujący obraz życia i czynów Czarnieckiego.

Pismo nasze, podawszy kilka prawie nieznanych prac Krasińskiego, pragnie i nadal umieszczać materyały do bliższego poznania jego życia i czynów. Podajemy dziś kilka takich szczegółów. Są to cegiełki tylko do przyszłego pomnika, ale i takie cegiełki są potrzebne.

Zaczynamy od rzucenia światła na smutną przygodę w młodości Zygmunta, kiedy go młodzież uniwersytecka znieważyła czynnie, co rzuciło cień posępny na całe jego życie. Wiadomo że jenerał Wincenty Krasiński, ojciec Zygmunta, w sądzie sejmowym przeciw członkom Towarzystwa Patryotycznego, posądzonym o zbrodnię stanu, był za ich ukaraniem, a większość sejmu z wyjątkiem czterech senatorów była za uwolnieniem. Gdy umarł marszałek tego sejmu Bieliński, wzięła cała publiczność Warszawy liczny udział w pogrzebie tego zacnego patryoty, a mianowicie młodzież uniwersytecka pragnęła w ten sposób uczcić pamięć marszałka. Zajście ztąd wynikłe opisuje Tadeusz Bieczyński w dziełku: *„Sąd Sejmowy opowiedziany przez przez naocznego świadka" Kraków 1869.*, następnemi słowy:

„Senator wojewoda jenerał Wincenty Krasiński, nie wiadomo czy z przekonania czyli też dla przypodobania się Wielkiemu Księciu lub też z rozkazu tego, przed pogrzebem Bielińskiego rozgłosił, iż jest chory, i nie był wcale obecnym ani na eksportacyi ani też na pogrzebie, a synowi swojemu Zygmuntowi surowo zalecił, ażeby nie brał udziału w obrządkach pogrzebowych, i w dniu pogrzebu naglił go, ażeby nie chodził do kościoła Święto-Krzyskiego, lecz raczéj jako uczeń uniwersytetu udał się na kolegium. Zygmunt posłuszny woli i koniecznym i zaledwie nie przymusowym naleganiom ojca, nie wziął wcale udziału towarzyszenia z kolegami w pochodzie eksportacyi a w dzień pogrzebu w czasie nabożeństwa udał się do uniwersytetu celem słuchania wykładu. Lecz w audytoryum był tylko on jeden; wszyscy inni uczniowie uniwersytetu byli w kościele na obchodzie pogrzebowym. W tych godzinach przypadał wykład literatury polskiéj przez profesora Osińskiego, a po nim prawa cywilnego przez profesora Bandkego. Profesor Osiński, przyszedłszy do audytoryum był niezmiernie zdziwiony, gdy wszedł na katedrę i ujrzał

w sali tylko jednego słuchacza, i do tego syna senatora wojewody Krasińskiego; sądził bowiem, iż żadnego ze słuchaczy nie zastanie, i chciał się sam udać do kościoła, ażeby oddać ostatnią cześć tak zasłużonemu i uwielbionemu mężowi, lecz nie chcąc kompromitować ucznia i słuchacza Zygmunta Krasińskiego, wykład swój całogodzinny przed jednym słuchaczem wypełnił. Po Osińskim przyszedł do audytoryum profesor Bandke, który również tak jak poprzedni profesor przed jednym uczniem, to jest Zygmuntem Krasińskim, całogodzinny przedmiotu swojego miał wykład. Uczniowie akademii, koledzy, powziąwszy wiadomość o tem postępowaniu młodego Krasińskiego, postanowili zemścić się i ukarać go; i gdy na drugi dzień przyszedł rano do audytoryum uniwersytetu, przy wyjściu obsypali go obelżywemi słowami, z munduru jego obdarli znaki akademickie, to jest obszewki białe na kołnierzu, i prawie nawet z audytoryum wyrzucili. Myśl tym sposobem ukarania kolegi Krasińskiego wyszła od Leona Łubieńskiego syna jenerała Tomasza Łubieńskiego, który także był dowódzcą tego czynu. Po téj napaści Zygmunt Krasiński wyzwał na pojedynek Leona Łubieńskiego: władza uniwersytetu powziąwszy wiadomość o tém wydarzeniu, rozpoczęła indagacyą celem ukarania winnych. Jenerał Tomasz Łubieński, ojciec Leona, przewidując, iż wyrok uniwersytetu będzie bardzo niekorzystnym dla syna, oraz chcąc zapobiedz, ażeby pomiędzy synem jego a młodym Krasińskim pojedynek miejsca nie miał (gdyż zostawał zawsze w dobrych stosunkach z jenerałem Krasińskim jako dawniejszym szefem swoim, bo służył w gwardyi polskiéj Cesarza Napoleona pułku Chevaux legerów c. ułanów), wysłał zaraz syna swojego Leona za granicę do Anglii, i tym sposobem zapobiegł pojedynkowi oraz wykonaniu zapadłego wyroku uniwersytetu tj. relegacyi. Jenerał zaś Krasiński nie chcąc syna swojego wystawić na dalsze zajść mogące nieprzyjemności prześladowania, wysłał go niebawnie za granicę do Włoch.“

Dodajemy, że zajście to, które tak stanowczy wpływ wywarło na życie Krasińskiego, zaszło 20 Marca 1829 r.

Od jednego z rodaków, obecnych w tym czasie w Warszawie, wiemy, że podobno wszyscy słuchacze uniwersytetu zobowiązali się słowem honoru, że na prelekcye 20 Marca nie przyjdą a natomiast uczestniczyć będą w pogrzebie śp. Bielińskiego. Dał i Zygmunt to słowo. Można sobie wystawić okropne położenie młodzieńca. Tu słowo dane, tam rozkaz ojca. Co za smutna walka dwóch powinności! Którąkolwiek drogę obrał Krasiński, każda była dlań złowrogą. Przypomina to mimowoli smętne zapasy bohaterów Sofoklesowych, którzy wiedzieli, że choć zwyciężą, jednak padną pod ciosem nieubłaganego fatum.

Do opisu Bieczyńskiego dodać jeszcze wypada, że gorąca młodzież nazwała Zygmunta zdrajcą, a ów Leon Łubieński znieważył go nawet czynnie. Ujął się za pokrzywdzonym Zygmuntem jedyny Konstanty Gaszyński, ztąd zawiązała się między niemi serdeczna przyjaźń na całe życie. Atoli i Gaszyński doznał niechęci i prześladowania młodzieży. Unikano go jak zapowietrzonego. Odtrącony od społeczeństwa Gaszyński posmutniał i chciał już sobie odebrać życie. Zwierzył się z tym zamiarem Adolfowi Malczewskiemu, który dotąd żyje w Trzemesznie. Ten rzekł do niego: „Niedługo wybuchnie powstanie, oto ja cię przyjmię do związku podchorążych, a wtedy ustaną prześladowania twéj osoby“. Tak się stało, Gaszyński został przyjęty do związku, a tém samém wrócono mu cześć i szacunek. Gaszyński z wdzięczności napisał Malczewskiemu do imionnika piękny wiersz, który umieścił „Lech“ w 1 nr. 1878 r.

(Dokończenie nastąpi.)

## Staszic w pochodach swoich po górach Karpackich.

(Ciąg dalszy.)

Zastanowiwszy się jeszcze nad górami *Lanckorony* a mianowicie nad najwyższemi z pomiędzy tego pasma *Kotuniem, Strzeblem, Klimentowem, Mogielanem* nad składem gór nad Rabą, spuszcza się Staszic w dolinę tej rzeki przez *Jordanów, Spilkowice* do wsi *Podwilka*. Ztąd dnia 24 Lipca 1804. r. przedsięwziął wejść na wierzch *Babiéj góry*, najwyższéj z gór t. zw. ościennych. Pochód ten odbywa do dwóch trzecich jéj wysokości, póki góry lasem porosłe, konno, resztę pieszo i to nie tak dla przykrości spadku skał, jak dla rozplątanych kozodrzewów, których konno przebyć nie podobna. — Wierzch téj góry ma około ćwierć mili rozciągłości. — *Wysokość Babiéj-Góry* wedle badań Staszica, robionych na miejscu, wynosi stóp 5000 Paryzkich nad poziom Baltyckiego morza.

Od południa cała góra pokryta trawą, ziołami i kwiaty, a że od téj strony łatwo przystępna, przeto wcześnie z wiosną na nią wychodzą pasterze, zatem kwiaty mało rozwinąć i utrzymać się mogą. Spojrzawszy z Babiéj Góry na północ, masz widok nieskończenie rozległy, widać Kraków, wszystkie miasta i wsie aż po Sandomierz.

„Dnia 25. Lipca 1805 roku uważałem z téj góry (mówi Staszic) wschód słońca.

Powietrze było pełne mglistéj pary. Słońce wschodząc przez kilka minut, ukazało mi się więcéj siódmą częścią swego diametru spłaszczone. Mgła szaroblada wznosząc się się do połowy Babiéj-Góry ukazała szczególny na około widok: wszystko zdawało się być zatopione, jak wodami zalane z których gdzieniegdzie, gdyby wyspami, wydobywały się niektórych gór wierzchowiska.

O godzinie szóstéj wracając z Babiéj-Góry stanął Staszic we wsi Spilkowicach. Tutaj świadkiem był straszliwéj burzy. Opisuje ją pięknie i obrazowo.

Opis ten mimowolnie we wiersze mi się złożył.

Pędzą na przeciw siebie dwie olbrzymie chmury.
Jedna szarobiała, druga czarna, obie brzmienne
Gromem i ogniem, tak jak zbałwanione góry
Lub jak dwie reduty mordercze wojenne
Lecą naprzeciw jak olbrzymie dwa smoki!
Zetknęły się jedna od *Lubni* i *Poręby*
I słychać huk, grzmoty tak jakby wyroki
Ostatniego sądu! Znikają drzewa, dęby
Padają ludzi, trzody, skały, bydło.
Tam wicher oberwał jedno lasu skrzydło,
Małe potoki wzrastają w rzeki ogromne
Porywają wszystko, słupieją zmysły ułomne
Człowieka, tego zniszczenia i zjawiska świadka.
Chwila zgrozą wspaniała, a wśród gór nierzadka!
Słychać znów huk, to nie huk, lecz huków tysiące,

Jakby sta dział zogniły wojska zemstą wrzące,
Jakby siły górne gniewem skomfederowane
Zniszczyć miały te ziemie górom podesłane.
Patrzcie! W tej gdzie Raba się wszczyna dolinie,
Nad tym rozległym, spokojnym kwiecistym Wądołem
Nad nim *Lubnia, Poręba, Rabuń, Babia* kołem
Jakby strażnica stanęły tej cudnej równinie,
Znowu chmur zebrały się olbrzymie smoczyska.
Te niszczą, tępią, wszystko zdaje się rumowiska.
Tu ślad miast i wsi w tej dolinie nie zostanie
I niszczenia noc pewna i natury konanie.
Tam zdaleka widzisz wsie *Spilkowice, Rokiciny,*
W nich domy się palące, wznoszące się dymy,
Tam spada bryła lodu, centnar ważąca,[1])
Ciężarem swym dom zniszczyć grożąca,
Na szczęście chybia dom i pada około domu,
By dać ludziom świadectwo swego ogromu.
Naraz robią kompromis dwa przeciwne wiatry.
Łączą się, aby natrzeć przez *Nowy Targ,* Tatry
Naprzód przez *Białkę, Jaworzynę.* Ale góry
Te twarde i ku Niebu hardo wypiętrzone
Nagą pierś stawiają i cofają się chmury.
Oporem tym wściekłe, gniewne, rozłoszczone.
Niszczą, palą, tępią . . . same rumowiska
W ślad po sobie ścielą . . . i dalej te smoczyska
Czyli smoczysk gromada przez *Koperszady*
*Bielskie, Magorę, Słowiańską, Wielką* białą
Pędzi, zrywa dachy, łamie drzewa, nie zna zawady
Gotowa wszystko zgładzić, zniszczyć ziemię całą.
Polsko! dziko romantyczne są twe widoki
I w zgrozie swej piękne, wspaniałe, czarowne.
A jednak syn tej ziemi kierował swe kroki
W inne kraje a opuszczał te sceny malowne!
A ileż to w nich życia, odmian i uroku,
Nowy, ciekawy obraz odkrywasz co kroku.
Rozwyły się wiatry i rozeszły w przestworze,
Rozhuczały się rzeki, drobnieją w poniki,
Słońce złoci znowu ten krajobraz dziki,
Uchylasz czoło w śmiertelnika pokorze
Przed niewidzialnej mocy majestatem,
W przecudnym na raz rozpływasz się przestworze.
I otóż widok nowy! Walka gór tych gości,
Patrz, król ptaków, orzeł pełen dumy, złości
Z capem[2]) bój nierówny stacza,
Zwyciężyć nie mogąc ostry dziób swój wtłacza
W nieszczęśliwej kozy ślepie, w dół wpycha,
W niezgłębione skał otchłanie i oddycha
Wolniej zwycięzko roztaczając skrzydła
Jako król ptaków dumny nie znając wędzidła.
Po skałach, dolinach uraniając pióra
Nic mu stanie sporem ni najwyższa góra.
Tam Joas urodziwy o czarnych kędziorach,
Tygodnie polujący po skałach i borach,
Jak wiatr lekki a jak strzała lotny,
Smukły, zwinny, w ruchach obrotny,
Skał nierówne szczyty lekką stopą trąca,
Nic niebezpieczeństwo spokoju nie zamąca
Bystremu i śmiałemu skalnych piątr strzelcowi,
Gór tych panu, tej ziemi wiernemu synowi.
Twarz podłużną, męską czarny włos osłania
Na szyi gąbic różnobarwnych stek podzwania
Na nogach znane Górali spięte bockory
Czarnym rzemieniem spasane w pleciankę,
Na głowie kapelusz nizki, ozdobiony pióry,
Nie trudno takiemu zdobyć i bogdankę.
Na Sty Michał górskiego ludu obyczaje
Poznasz najłacniej, gdy trzody, buhaje
Z gór pędzą, do domów wracając
W dolinach bezpiecznych znów się witając.
Tam Joasa poznasz zręczność, śpiewność, ruchy,
Jacy zręczni, gościnni a gdy trzeba zuchy.
Jak kochają szczerze tę kamienną glebę,
Żyłę z ciała wypruj, nie opuści za nic zgoła
Tej oczystej skalnej ziemi, co do koła
Groźna burzą, zimnem, głodem i w potrzebę
Ledwo czasem kęsem chleba go obdarza.
Lecz ta jej piękność co dnia się odtwarza,
Co dnia nowe wpływy i uroki i widoki.
Ta nieba zda się bliskość, ta wielka przyroda
Nową myślą namaszcza, prawi, to swoboda,
Życie wolne na kozodrzewów posłaniu
Twardem i zimnem.[3])

Staszic charakteryzuje lud góralski, karpacki jako bystry otwarty, gościnny, wytrwały na zimno i głód, jako nad miar odważny. Główną jego namiętnością to polowanie na dzikie kozy, zwane w Karpatach capami, a przez Buffona po francuzku bauqetin. Góral za temi uganiając się capami, chowającemi się tylko wśród najwyższych skał, kozedrzewiem obrosłych albo ukrytych śniegami, żadnego nie lęka się niebezpieczeństwa. Po całe tygodnie, dnie i noce podczas lata i podczas zimy czai się, czuwa, sypia po skałach z kawałkiem owsianego suchara i z pękiem wosku wśród lodów i śniegów ziębły, skarkły. Dla tej namiętności znosi góral głód, niewygodę, zadawalnia się małym zyskiem, wielu dla niej ponosi śmierć. Ta namiętność robi górala najszczęśliwszą na świecie istotą.

Jeden wyjątek co do urodziwości, bystrości i wielu dodatnich przymiotów górali znachodzimy wśród gór tych Beskid, które na końcu opisaliśmy. Skutkiem gatunku pewnych gazów ludzie tu się rodzący są na duszy nieszczęśliwi a na ciele poczwarni. Siły fizyczne tych istot jakby bezwładne, jedne członki ciała stósunkowo za długie, inne stósunkowo za małe. Głowy wielkie, jakby nabrzmiałe, ogromne gardła spadające na pierś, wargi nabrzmiałe, usta zawsze rozwarte brew gruba, skóra czarno-żółtawa, w całym organizmie fizycznym jakby kości rozczłonienie. Najsmutniejsza i najboleśniejsza ta ułomność władz umysłowych tych istot ludzkich. Są one jakby odurzałe, w mówieniu trudność i niezrozumiałość.

Z boleścią i głębokiém współczuciem mówi Staszic o tych nieszczęśliwych, od przyrody upośledzonych istotach, których zewnętrzna szpetność równa się umysłowemu i duchowemu upośledzeniu.

Z zakrwawionem sercem zastanawia się nad temi istotami ten największy z filantropów, ten prawdziwy człowiek który wszędzie gdzie zastał nędzę, opuszczenie, nieszczęście, zaniedbanie, tam środkami, które własną siłą, pracą i usilnością potężne sobie wyrobił, skutecznie zagrodzić im się starał. A tu nie było sposobu.

I słusznie powiedzieć o Staszicu się godzi:

„Jako Chrystusa Pana prawdziwy sługa grosz oszczędzony, dla siebie skąpiony, składałeś do ofiar publicznych skarbony dla *głuchych, dla niemych* i *kalek* a struga łez krwawych, bolesnych, katusznych wtrzymana za łaską takiego Ducha-Hetmana."

Ten, który pomógł głuchym, niemym, kalekom, żebrakom, sierotom, pomódz nie mógł tym nieszczęśliwym istotom które spotkał wśród Beskid, a które garłuchami nazwał.

W tych stronach wytryskują źródła wód kwaśnych i tak w okolicach *Krośnicy, Tyłki, Bieli,* wsi *Słowiańskiej, Lubli-*

[1]) Staszic widział w czasie opisanej przez niego burzy bryłę lodu półcentnara ważącą, strąconą niezawodnie siłą gwałtownych wichrów z szczytu skały.

[2]) Rodzaj kóz dzikich przez Buffona bauqetin zwane.

[3]) Cały ten opis jest wiernie oddany wedle opisu Staszica.

*Druzbokowie, Ciwnicznym, Rozłoce, Krynicy, Konieczným, Bardyowie* itd.

W paśmie tém gór mianowicie tam gdzie rzeki *Opcer, Stryć, Orgowa, Ilnik, Ilnila*, początek biorą pomiędzy węgierskiemi powiatami Ungwar i Marmorosz a Polskiem Pokuciem znajduje się mnóstwo od ludu mniemanych półdyamentów, które w Polsce *Krakowiłami*, a Słowianie w Węgrzech *Dragomiłem* nazywają.[1] C. d. n.

# Parafialna Wieszczka.

**Nowella**

napisał

TADEUSZ ZAREMBA.

I.

Błądząc oczami po mapie Podola, niezbyt daleko od jego stolicy Kamieńca, a w okolicy, w której jarów i wąwozów bez liku, natrafimy na wieś Malczyńce, położoną o pół mili od niewielkiego miasteczka – Markówki, biorącego swoje nazwisko od rzeczki, a raczéj potoku, który przebiega kilka mil kraju, nim swoje wody w łono Dniestru w daninie zaniesie.

Malczyńce tem się różnią od ogółu wsi podolskich, że w nich głównie uderzają oczy gęsto rozsiane szlacheckie dworki, gdy stosunkowo chat wieśniaczych niewiele. Wzdłuż całego sioła przebiega szeroki, ogrodzony plecionemi płotami gościniec, od którego w prawo i w lewo rozchodzą się jakby niezliczone łapy skolopendry, wązkie, nierówne, ocienione drzewami i w środku lata nawet błotniste drożynki, któremi nie bez trudu w głąb sioła dostać się można. Szeroki zaś gościniec od Markówki prowadzi, a przebiegłszy wieś, za kołowrotem zawróciwszy na prawo, przepada gdzieś w stepie… i, jak twierdzą niektórzy – można się nim dostać aż do samego Tulczyna.

Malczyniecey kollokatorowie nie żyją w zupełnie ściśléj sąsiedzkiéj zgodzie, a tego im za złe mieć nie można, bo dzięki waśniom i sprzeczkom, dzięki zawiściom, plotkom i obmowom — jest o czem pomówić w święto przed kościołem, każdy czuje, że żyje z pewnym celem na świecie, że jakieś w nim stanowisko zajmuje, — chociaż jest tylko skromnym obywatelem na małéj cząstce Malczyniec. Jeśli który ma jaką sprawę — zdaje mu się, że cały świat o niéj wiedzieć powinien, jeżeli który do swego dworku dobudował jaki alkierzyk jest przekonanym, że o nim mówią nawet hen za Latyczowem.

Jednym z głównych obywateli Malczyniec jest niezawodnie pan Polikarp Popowicz — posiadający około trzydziestu morgów w zmianie, mający żonę z Frendzelkiewiczów (co mu niemały zaszczyt przynosi), i dwie córki na wydaniu, za któremi cała miejscowa młodzież szaleje. Pan Polikarp jest dobrym gospodarzem, co dzień od rana w polu robotników dozoruje, a zawsze u niego wszystko najwcześniéj i najlepiéj zrobione. Gdy się współobywatele czasem o co pokłócą, pan Polikarp ich sądzi, a jeżeli ten, na czyją niekorzyść sąd wypadł narzeka i czuje jakąś do niego urazę, strona wygrywająca głośno pana Popowicza wychwala dowodząc, że równie szlachetnego i prawego człowieka nie ma pod słońcem. Że zaś pan Popowicz wié zawsze dobrze na czyją stronę jest lepiéj ważące się szale przechylić, wynikające ztąd głośne pochwały zawsze zwycięzko wychodzą z walki ze słabemi narzekaniami i sława jego tym sposobem z każdym dniem rozkrzewia się i rozrasta. Nie ma jednak na tym świecie zupełnéj doskonałości i .... wszyscy jednogłośnie utrzymują, że pan Polikarp nie gardzi kieliszkiem. Ten mały, aczkolwiek niepotrzebny niedostatek zupełnie jego wysokiemi cnotami pokryty i nikt go mu nawet mieć za złe nie może, bo jeżeli czasem pan Polikarp sobie nawet i pociągnie, — robi to zwykle w kompanii, prosi, częstuje... O! za to nigdy się gniewać nie można!

Dziwnie sympatyczną osobą jest jego żona pani Pudencyanna. Uchodzi ona powszechnie za najbardziéj dystyngowaną damę w Malczyńcach. Oprócz mnóstwa talentów uprzyjemniających pożycie małżeńskie na wsi, jakoto — kwaszenia ogórków, smażenia konfitur i pieczenia ciastek pani Pudencyanna posiada wykwintną światową ogładę i w każdym miejscowym salonie od razu zwrócić musi na siebie uwagę każdego. Trzyma się zawsze bardzo prosto, mówi trochę przes nos, z pewną pretensyą, gdyż nigdy nie zapomina, że jest Frendzelkiewiczówną z domu, a jak się czasem komu chce przypodobać, gdy sobie czyje serce chce podbić — tak pięknie, tak pieszczotliwie i melodyjnie zdrabnia i przeciąga wszystkie wyrazy, że chciałoby się ją słuchać bez końca. W całych Malczyńcach liczy ona tylko jedną nieprzyjaciółkę — panią Tomaszową Tasiemskę, osobę przykrym obdarzoną charakterem, żółciową, zawistną, ambitną, otyłą, czerwoną, nizką, niezgrabną, któraby chciała pierwszą rolę odgrywać w świecie, na rachunek tego, że jest córką marszałka. Przy wszystkich swych wadach pani Tomaszowa ma jeszcze bardzo krótką pamięć i zawsze zapomina że ojciec jéj był wprawdzie marszałkiem, ale nie powiatu lecz dworu. O tem jednak nikt w okolicy zapomnieć nie może i często się zdarza, że pani Pudencyanna widzi się zmuszoną w sposób słodki i ujmujący złą pamięć sąsiadce wymówić.

Przez pierwszych lat kilkanaście małżeńskiego pożycia pani Popowiczowa co roku kosztowała słodyczy macierzyństwa, ale jakoś się u niéj dziatki nie wiodły z powodu rozmaitych chorób, które się wiecznie gdzieś po brudnych miasteczkach w okolicy gnieździły. Zostały jéj tylko dwie córki Kornelia i Leokadya i te się szczęśliwie chowając wyrosły na duże i przystojne panny.

Kornelia ma lat siedemnaście. Nie dziw, że za nią szaleją, bo równie pięknéj dziewczyny dawno nie oglądały Malczyńce. Włosy jéj jasne jak u wiejskich dzieci, obfite, naturalnie karbowane, uroczą tworzą ramę do jéj pięknéj twarzy o regularnych rysach: łagodny uśmiech nie schodzi z jéj ustek; głównym zaś urokiem Kornelii są oczy, ogromne, szafirowe, wiecznie zamyślone i w dal patrzące oczy. Kornelia od lat dziecinnych była pieszczoną przez wszystkich, a chociaż nigdy do pracy wielkiéj nie okazywała skłonności, nie śmiano jéj zbytecznie do niéj nałamywać. Bardzo za to lubiła wysunąć się z książką w ręku do ogrodu, gdzie nad szemrzącym strumykiem w cieniu wierzby całe spędzała godziny. Najwięcéj dla niéj miały powabu wiersze... pożerała wszystkie, jakie tylko pod ręką znalazła, całe ustępy z naszych poetów umiała na pamięć; tych szczególnie lubiła, których najmniéj mogła zrozumieć. Przytem jéj wyobraźnia nigdy nie pozostawała bezczynną, nieraz w zamyśleniu sze-

ptała jakieś niezupełnie jeszcze dla niéj saméj zrozumiałe wyrazy, i powoli ... powoli ... przyszło do tego, że pierwszy swój wiersz napisała ..... Od téj chwili już innéj nie znalazła rozrywki; przekonana o swoim talencie, o swojem powołaniu, już się niczem zająć nie chciała, pomimo nalegań matki, chcącéj znaleźć w niéj jakąkolwiek pomoc. Daremnie były wszelkie usiłowania ... Kornelia matki słuchała, lecz widać było że myśli jéj czem innem zaprzątnięte na chwilę nad poziomym szczegółem codziennego życia zatrzymać się nie mogły. Dano jéj w końcu pokój i odtąd szczęśliwa, swobodna, każdą chwilę mogła ulubionemu zajęciu poświęcić.

Młodsza za to córka Leokadya, lub Kadzia jak ją nazywano, była prawdziwą matki pociechą. Żywa, czynna, wesoła żadném nie gardziła zajęciem, a roboty miała nie mało Ale w święta, w niedzielę nikt się równie dobrze i wesoło nie bawił. Szalano za Kornelią, lecz po bliższem poznaniu każdy o Leokadyi tylko mówił, myślał i często marzył, zachwycony jéj wesołością, dowcipem i naturalnością. Kornelia wszystkich traktowała z góry, a gdy się kto do niéj zbliżył z uśmiechem, zdradzającym chęć popisania się z jakim wytwornym kollokacyjnym dowcipem, nie darzyła go nawet spojrzeniem. Czyż ją co oprócz poezyi mogło zająć, poruszyć?... Jakże wszystko czem zewsząd była otoczoną zdawało się jéj nizkiem, nędznem, małem i błahem!... Nikt nie był zdolnym jéj pojąć, nikt, chyba może jedna tylko w domu osoba, panna Aniela Sutaszkiewiczówna, daleka krewna i rezydentka.

Aniela już sama dla siebie marzyć i śnić nie mogła, bo, jeżeli nam pozwolą wiersz poety trochę przekręcić:

„Panna ta była brzydka,
Z malutkich jéj oczek
Już pewnie pięćdziesiąty
Przeglądał się roczek.“

Dla téj przyczyny Aniela z Kornelią i dla niéj marzyła, a wtedy stawały jéj przed oczyma już tylko wspomnienia czasów dawno minionéj młodości. Była to zresztą najzacniéjsza osoba; dobra, posłuszna, potulna, czuła, wyrozumiała, często zapłakana i nieustannie wzdychająca. Była prawdziwą artystką w ciągnieniu kabały, a nadto — znając różne skomplikowane tajemnice kuchenne wyobrażała skarb nieoszacowany w oczach praktycznéj pani Polikarpowéj.

Jesteśmy w pierwszych dniach Maja. Słońce pływa bez przeszkód po czystym niebios błękicie, ptaszki na drzewach wesoło śpiewają, a zieleniące się pola zdają się dyszeć swobodnie — uwolnione z pod niedawno ciężącego nad niemi zimowego całunu. Powietrze przepełnione woniami budzącéj się wiosny, Kornelia jest poetką, lubi czytać z księgi przyrody, każdy kwiatek, każdy rozwijający się listek coś jéj opowiedzieć potrafi, strumyk śpiewa, kamień milczy...

— Anielciu! Chodźmy na przechadzkę, — powiada. — Słońce jeszcze wysoko, mamy dużo czasu.

— Najchętniéj, moja droga. Dokąd pójdziemy?

— Do Karpowego Brodu.

— A!... To i ja z wami! — woła Leokadya. — Tam mnóstwo raków. Jutro święto, będziemy mieli prawdziwą ucztę.

— Nie zapomnij swoich wierszy, Kornelciu, — prosi panna Aniela.

— O! te mnie nigdy nie opuszczają!...

Pomiędzy Malczyńcami a Markówką ciągnie się długi, ścieśniony, głęboki parów Karpowym Brodem zwany. Ściany jego strome, najeżone granitowemi skałami, niknącemi gdzie niegdzie pod bujnie miejscami rosnącemi drzewami. Karpów Bród jest ulubionym celem przechadzek Kornelii. Położenie jego nadzwyczaj malownicze, a nieustający szum wartkiego, na wiosnę, lub po ulewie szalonego często potoku, zawsze ją usposabia do marzenia, a czasem i do natchnienia.

Po półgodzinnym marszu znalazła się wraz z towarzyszkami na moście przerzuconym przez potok. Po prawéj stronie wznosił się od wielu lat opuszczony, na pół zrujnowany młyn, po lewéj — piętrzyły się skały i drzewa.

— Gdzie spoczniemy? — zapytała Aniela.

— Tam... Tam... — odparła Kornelia wskazując na drzewa. — Tam moje ulubione ustronie, tam zapominam o świecie, o ludziach, tam marzę słuchając z rozkoszą chórów całéj natury.



*Tadeusz Czacki.*

Aniela westchnęła i ścisnąwszy dłoń wieszczki rzekła z rozrzewnieniem!

— O moja Kornelciu!... Mów jeszcze, mów... Twoje słowa dar mają do łez mnie poruszać. Ja tak lubię wszystko co piękne. Chodźmy do twego ustronia, do twojéj świątyni. Kadzia słuchała ruszając ramionami.

— Ja się nawet do niéj nie wpraszam, — rzekła w końcu. — Mam tu inne zajęcie, a zresztą jestem niegodną tak wielkiego zaszczytu.

— Moja Kadziu! Jesteś niepoprawną! — odparła z oburzeniem Aniela.

— Dla czego? Bo wolę raki od rymów? Żegnam was. Jak wracać do domu będziecie, to mnie zawołajcie. — I zniknęła za drzewami.

— Dziwna ta Kadzia! — Szepnęła Aniela.

— Tak, dziwna... Są jednak chwile, w których jéj prawie zazdroszczę. Zawsze wesoła, zawsze czynna, najmniejsza rzecz ją zajmie, zabawi, rozerwie ... O! ciężkie, trudne jest powołanie wieszcza. Ja wszystko widzę inaczéj, dobrze mi jest tylko wtedy, gdy mogę samotna z marzeniami pozostać. Zresztą wszystko na mnie bolesne wywiera wrażenie. Każdy szczegół codziennego życia, każde słowo, które mnie dolatuje czyni na mnie wrażenie fałszywego akordu rozdzierającego harmonię cudownie brzmiącéj melodyi. O! Ty nie wiesz Anielo, jak ja nieraz cierpię!...

— Biedna, biedna Kornelio!

— Ale nie... Kadzi zazdrościć nie mogę, nie mam prawa... Choć zwykle smutna, doznaję nieraz takich rozkosznych wrażeń, o jakich biedna mieć nawet wyobrażenia nie może.

— Jesteśmy w twojéj świątyni, — rzekła Aniela sadowiąc się na miękkiéj murawie. — Czytaj droga Kornelio.

— O tak!... Będę czytała. Ty jedna zrozumieć mnie umiesz. Będę czytała, a te wody szumiące towarzyszyć mi będą.

Aniela, jako osoba czułe mające usposobienie, lubiła być zawsze przygotowaną, do stanowczéj chwili. Dostała z kieszeni chustki, na któréj czerwoną bawełną wyhaftowane było jéj imię i nazwisko.

— Słucham, — rzekła. — Jestem gotowa.

Kornelia stanowszy nad wodą, oparła się o pień płaczącéj wierzby, spojrzała na niebo, na wodę i po chwili poświęconéj niezbędnym przygotowaniom, jakoto — poprawieniu włosów, fałdów sukni i kilkokrotnemu chrząknieniu, rzekła tonem uroczystym:

— Czytać nie będę, wolę deklamować. Opowiem ci stan mojéj duszy. — I zaczęła:

„Nikt nie pojmie mojéj biedy
Jęczę, płaczę, wzdycham sama...
Czy współczucie wzbudzi kiedy
To straszliwe panorama?...“

— Ooch! — westchnęła Aniela.

Kornelia daléj mówiła:

„Darmo serce serce szuka,
Darmo śpiewa, błaga, wzywa, —
Tak nierówno bije, puka...
To znękana pozytywa!..“

Aniela już się nawet na westchnienie zdobyć nie umiała. Zalewając się łzami współczucia, twarz sobie chustką zakryła.

„Życie w koło, ruch i śmiechy,
Ptaszę śpiewa, szumi woda,
Smutek patrzy z serca strzechy,
Ach! któż jemu rękę poda?“..
„Nikt! Ja jestem zawsze samą,...
Więc żegnajcie wszyscy!.. *Adjo*....
Wy Malczyńce, papo, mamo
I ty siostro Leokadjo!....“

Biednéj Kornelii zdawało się, że jéj wiersze były arcydziełem.

— O! moja Kornelciu! — zawołała zrywając się na równe nogi Aniela. — Tego nie zrobisz!.. Dokąd pójdziesz?... Ja ciebie nie puszczę, albo sama pójdę za tobą!...

— Uspokój się, — odparła wieszczka z łagodnym uśmiechem. — Nigdy domu porzucać nie chciałam. To wiersze... To się tylko tak mówi... Nie mogłam znaleźć bardziéj odpowiednich obrazów dla opisania całéj ohydy moich straszliwych męczarni. Okropnie nieraz cierpię moralnie, bo mnie nikt zrozumieć nie jest w stanie, ale jestem mężną... ja wytrwam, Anielo!

— O! Dzięki ci za te słowa pociechy! Byłam przerażoną, bałam się... Z takim zapałem wymówiłaś ostatnie wiersze, że byłam przekonaną.... Ale to jeszcze nie koniec?... Prawda Kornelio?... Deklamuj jeszcze... jeszcze, ciągle... To mnie rozrzewnia!... Jak tak płakać lubię!...

Byłaby chętnie Kornelia zadość żądaniu przyjaciółki uczyniła, ale nagle rozległ się krzyk, krzyk przeraźliwy bolesny....

Poznały głos Kadzi...

Wnet wpadła pomiędzy nie jak bomba, silnie prawą ręką wywijając w powietrzu... palce miała krwią zbryzgane.

— Co to? — zawołała z przestrachem Kornelia.

— Rak!... Nieszczęście!....

Ledwo tych słów domówiła, usłyszano gwałtowne łamanie gałęzi w pobliżu i chwilę potem padał prawie u nóg przerażonych kobiet piękny rasowy wierzchowiec. Daremne były usiłowania siedzącego na nim mężczyzny. Koń nie mógł powstać od razu i jeździec zsiąść musiał.

Kobiety cofnęły się z trwogą. Kornelia drżała nie rozumiejąc co mogło znaczyć to wszystko. Tymczasem jeździec zmusiwszy konia do powstania, opatrzywszy go troskliwie, bardzo się pięknie damom ukłonił i rzekł z czarującym uśmiechem:

— Bardzo panie za mimowolne ich przerażenie przepraszam, ale winnym nie jestem. Zjeżdżałem z góry najspokojniéj i już byłem przy moście, gdy się nagle z za krzaka rozległ krzyk przeraźliwy. Pluton mi się spłoszył, dał kilka skoków i pomimo długich usiłowań powstrzymania go na miejscu, nie udało mi się go uspokoić... Gdyby nie to powalone drzewo, o które skacząc nogami zawadził, nigdyby nie było przyszło do tego wypadku. Szczęściem Pluton wyszedł z niego bez szwanku.

Kornelia nie spuszczała oczu z nieznajomego. Ubrany był wykwintnie, choć skromnie, twarz miał czarującą, oczy ciemne jak otchłanie, a usta purpurowe nie przestawały się uśmiechać. Gdy słów ostatnich domawiał, wykrzyknęła zdradzając wielki niepokój.

— Ale pan!... pan!... — I daléj mówić nie mogła.

— O! — odparł nieznajomy ciekawe na nią rzucając spojrzenie. — Jeździec powinien być przygotowany na wszystko Skoczyłem na nogi, gdy się Pluton przewracał i nic mi się stać nie mogło.

Kornelia nie była w stanie oczu od niego oderwać. Raz je tylko spuściła, gdy na nią spojrzał z większą uwagą. Równie pięknéj postaci nie widziała nigdy, nawet w najbardziéj fantastycznych marzeniach. Dotąd się uspokoić nie mogła; zapomniawszy o siostrze, która z uścisków raka się uwalniała, starała się wyczytać z twarzy nieznajomego, czy rzeczywiście nie cierpi, czy wyszedł cało z niebezpieczeństwa.

Po chwili już go nie było. Wskoczył na konia, damy ukłonem pożegnał i ciekawie raz jeszcze na Kornelię spojrzawszy, uśmiechnął się i zniknął za krzakami leszczyny.

— Kto to? — zawołała Kornelia.

Ani Aniela, ani Kadzia nie znały pięknego młodzieńca. Napróżno na domysły wpadać poczęły, próżno sobie głowę łamały, żadnéj odpowiedzi Kornelii dać nie mogły.

— Jakiś wielki pan! — zadecydowała w końcu Kadzia. — Jaki koń! Jakie siodło! Jak elegancko ubrany!... To jakiś bogaty panicz!...

— To jakieś nieziemskie zjawisko, — odparła Kornelia, podczas gdy lekki rumieniec na twarz jéj występywał. Do téj pory nie wiem, czy to był sen tylko, czyśmy też na jawie tego młodzieńca widziały...

— O! z pewnością! — rzekła śmiejąc się Kadzia. — Patrz... oto jego rękawiczka... Zapomniał jéj na trawie.

— Pokaż! pokaż, siostro! — Kornelia schwyciła podaną sobie rękawiczkę i poczęła się z nią pieścić. — Jaka mała, drobna rączka! — mówiła półgłosem. — Tak, rzeczywiście był tutaj... rozmawiał z nami... uśmiechał się i patrzał.. patrzał temi czarnemi oczami... o! jakież te oczy!...

— Co jéj jest? — Szepnęła Leokadya do Anieli. — Patrz jak się dziwnie uśmiecha i przewraca oczami... Ona w gorączce.

— O! — żywo odparła Aniela: — Ty daj jéj pokój.

na może w natchnieniu. a ty jéj nigdy nie zrozumiesz... daj jéj pokój.

I Kornelia swobodnie marzyła o pięknym nieznajomym. Obejrzała się... Towarzyszki były na przedzie, dostrzedz jéj nie mogły... urwała kilka listków leszczyny, za którą zniknęło piękne zjawisko, przycisnęła je do ust, do serca...

O! Gdyby była mogła, byłaby cały krzak z korzeniami wyrwała i do domu z uszanowaniem zaniosła!

Biedna Kornelia.

(Ciąg dalszy nast.)

# KRAKOWIAK

## u wodospadu Łaby

w górach czeskich.

Spada strumień, spada,
Huczy z góry srodze;
Biada temu, biada!
Kto mu stanie w drodze.

Bo się strumień jasny
Rwie tak ku głębinie
Do téj wody własnéj,
Co tam w dole płynie.

* * *

O bracia Słowianie!
Biada! biada temu,
Na drodze kto stanie
Złączeniu naszemu.

Choćby był dębowy,
Na miazgę go zgnieciem;
Choćby był stalowy,
W bryzgi go rozmieciem!

*R. Zmorski.*

# CZERWONA SALA

napisał J. G.

(Dokończenie).

Szkoły i wszelkie publiczne lokale oddano na przytułek nieszczęśliwych; a pierwszy był znowu pałac Działyńskich, gdzie rodzina ta schroniwszy się do kilku komnat, cały parter, 1sze i 2gie piętro przygotowała dla *najbiedniejszych rodzin.* Na dole urządzono wielką kuchnię, gdzie w kotłach gotowano nieustannie pożywienie zdrowe i obfite. Całe wnętrze pałacu roiło się tą okropną nędzą, samych dzieci zacząwszy od niemowląt, naliczyłem o ile pomnę do 300. Od świtu do nocy uwijały się tam, hrabina Tytusowa Działyńska i jéj nieodrodne corki, gdyż nędza ta nie czyniła im wstrętu. Zaglądały w każdy kątek, zaprowadzały ład i porządek, rozciągając pieczołowitość prawdziwie macierzyńską i siostrzańską nad dziatwą, która się do nich tuliła jak do aniołów opiekuńczych.

Takie to było gniazdo rodziny i jest Działyńskich; a nie było tam nic udanego ani fałszywego blichtru cnoty, bo to poczucie wyrosło kość z kości, z duszy, z serc patryotycznych, a więc trwałe, dozgonne.

Oprócz tych obrazów jakie przedstawiłem patrząc na nie własnemi oczyma, „Czerwona sala“ była i jest po dziś dzień jakby tą świątynią narodową, w któréj ogień Znicza nigdy nie wygaśnie. Gdy brakło ojca rodu śp. Tytusa, pozostała wdowa po nim, nieodrodny syn i córki są tam zawsze jakby dożywotnimi stróżami cnoty polskiéj i bratniéj miłości.

Ani jedno tętno nie uderzy w piersiach patryotycznych Wielkopolan, któreby się nie odbiło echem o stropy „Czerwonéj sali“.

Wprawdzie po śmierci hr. Tytusa Działyńskiego uwydatniony był żywot tegoż w kilku biografiach, ale ani jednéj nie mieliśmy sposobności przeczytać, któraby zadowoliła tego co znał i patrzał na znakomitego męża, nawet nie przypominamy sobie, czy kto upamiętnił ten żywot, jako męża stanu w epoce walki parlamentarnéj z Niemcami w Berlinie nie ze stanowiska żywota codziennego po za salą parlamentarną.

Już to nie jest tajemnicą, że śp. hr. Tytus Działyński cierpiał nieprzezwyciężony wstręt do Prusaków i w ogóle Niemców, chociaż znał ich język i z konieczności przemawiał nim z trybuny parlamentarnéj, to jednak w życiu codziennem w kraju, niktby go nie był zmusił do przemówienia chociażby jednego słowa. Lecz na tem nie dosyć, bo nietylko że dłoń jego nie spoczęła *nigdy* w dłoni wrogiego plemienia, ale nie było siły, któraby go zmusiła chociażby ze względu na zwykłe formy społeczne po za granicą kraju, jeżeli reprezentował naród, do zjawienia się w towarzystwie niemieckiém.

Dwór pruski używał często wszelkich forteli, aby tego dumnego polskiego magnata, o którym wiedziano że ich tak szczerze nienawidzi, chociaż raz wprowadzić na królewskie pokoje podczas balów, obiadów lub innych uroczystości dworskich; lecz wszelkie usiłowania były bezskuteczne, gdyż hrabia Tytus Działyński oprócz na gremialne audyencye „do króla“ gdy szło gremium poselskie ściśle w charakterze urzędowym bez ceremonii wszelkim zaproszeniom odmawiał.

Mowy jego w parlamencie pruskim są to wiekopomne pomniki cywilnéj obywatelskiéj odwagi, jakby z granitu wykute lub ze spiżu odlane, które głosił niczem nieskalany ogień miłości ojczyzny. Działyński nienawidził i brzydził się jak wstrętną zarazą wszelkiemi sztuczkami dyplomatycznemi.

Sprawę Polski wnosił przed wrogami i rozwijał jéj świętości niepokalany sztandar, a chociaż symbol męczeństwa, ale ze szlachetną dumą, jaka jedynie przystoi mężowi polskiemu

Jeżeli dzisiaj reprezentanci wielkopolskiéj ziemi nie zapomnieli co im godność narodowa nakazuje czynić i jak się odzywać, to zawdzięczają to mężowi temu, bo większa ich część czerpała natchnienie i naukę z żywota ś. p. Tytusa Działyńskiego.

Niestety, dzisiaj nietylko *obcy* ale i swoi nazywają patryotyzm taki „szowinizmem“ bodaj czy nie „pruderyą“; dzisiaj walą się z każdym dniem ostatki tego muru jakby chińskiego, który jeszcze za żywota Tytusa Działyńskiego bronił narodowość od lekkomyślnego zlewania się z obcemi żywiołami.

Pamiętam dobrze a ze mną zapewne i wszyscy rówieśnicy téj epoki, że gdy Polak poważył się sięgnąć lub przyjąć obcy blichtr, odsuwano się od niego jak od renegata, który uczynił rozbrat z przeszłością. Dzisiaj postępek taki

uważany jest za zręczny manewr dyplomatyczny, to też dziś, gdy samozwańczy prorok woła: „Szukajmy i dajcie nam Lubeckich“. My wołamy: „Dajcie nam Tytusów Działyńskich, a znajdą się Lubeccy“!

Kończąc wspomnienie o „Czerwonéj sali“ zanoszę prośbę do Boga ze zbolałéj duszy: „Daj nam Panie Tytusów Działyńskich“.

## Dopełnienie życiorysu K. Wójcickiego.

W 33 nr. „Lecha“ przemilcza artykuł o Wójcickim nader ważne szczegóły o tym weteranie literatury polskiéj, a mianowicie pominięty jest jego udział w pamiętnym boju o naszę niepodległość 1831 r. Zacny Wójcicki cenił wyżéj ten swój udział w powstaniu, aniżeli swe prace literackie. Rozumiem, że pisma warszawskie muszą o tem milczeć, ale inne pisma polskie, nie wychodzące pod obuchem cenzury, powinny koniecznie uwzględnić ten piękny objaw szlachetnéj duszy Kazimierza.

Wójcicki wkrótce po wybuchu powstania zaciągnął się do pułku gwardyi strzelców konnych. Ten pułk zdobył sobie smutną sławę w nocy 29 Listopada, ponieważ na rozkaz jenerała Kurnatowskiego strzelał do ludu — był to jedyny pułk, który strzelał, i jedyny jenerał, który strzelać kazał do walczącego ludu. Dziwiło to tym więcéj, że pułk ten kochał szalenie swego podpułkowni ka Krzyżanowskiego, więźnia stanu, a nawet zamierzał go odbić z więzienia. Powstało też ztąd wielkie oburzenie na jenerałów Krasińskiego i Kurnatowskiego, naczelników gwardyi, to też o mały włos nie padli ofiarą i gdyby nie jenerał Szembek, byliby utracili życie. To też z czasem zatarło się nazwisko gwardyi, a pozostała tylko nazwa strzelców konnych. Otóż u tych strzelców konnych w piątym pułku służył nasz Wójcicki, jak mi to sam powiadał. Widziałem się z nim nieraz w Warszawie, i kiedym wszczynał rozmowę o jego pracach literackich, to on machnął ręką, mówiąc: „Co mi tam pióro, lepiéj o naszych bitwach pomówmy, to serce odżyje“, i nuż rozprawiać o różnych bataliach, a szczególnie lubił wspominać o wzięciu miasta Nuru, w któréj bitwie brał Wójcicki osobisty udział. Tam to na batalion wyborowéj gwardyi moskiewskich saperów szarżował szwadron piąty, w którym służył Wójcicki, prowadzony przez rotmistrza Skarszewskiego, który zginął na polu bitwy śmiercią walecznych. Po nim objął komendę porucznik Apolinary Kurnatowski, który wziął cały batalion moskiewski do niewoli.

Ten Apolinary Kurnatowski jest nasz rodak Wielkopolanin, który za polską sprawę trzymany był w więzieniach Poznania, Sonenburga i Berlina, a późniéj 1848 r. walczył pod Miłosławiem i Wrześnią. Kochaliśmy go z powodu jego wielkiéj miłości Ojczyzny i prawego charakteru. Krótki nekrolog zacnego śp. Apolinarego podał nasz patryarcha Kraszewski w „Rachunkach“.

Przy téj sposobności wspomnę jeszcze kilku Wielkopolan, którzy służyli w korpusie jenerała Łubieńskiego i którzy prawdopodobnie na ten czyn dzielny piątego szwadronu strzelców konnych patrzyli. W tym to korpusie służył zacny X. Jan Lewandowski, obecnie dziekan w Lubaszu, który w ostatnich czasach mimo wiek podeszły karany był więzieniem z powodu tak zwanego „Kulturkampfu“. Służył też tam i znany w Poznaniu Tadeusz Leciejewski, o którego czynach dobitnie pisze akt oskarżenia z 1846 r. Bili się też w tym korpusie dzielni Mycielscy, z których pozostał już tylko Józef hr. Mycielski, adjutant jenerała Łubieńskiego, dziedzic Kobylegopola. Służyli także w tym korpusie: śp. dyrektor Morawski, śp. Wojciech Morawski, późniéj ksiądz, śp. Fran. Niemojowski, dziedzic Pogrzybowa itd.

Wydał też K. Wójcicki zaraz po wybuchu powstania zbiór pieśni patryotycznych. Tytułu sobie nie przypominam, ale widziałem tę książkę u śp. X. Klemczyńskiego, wielkiego patryoty, w Kotłowie pod Mixtatem. W téj książeczce są np. następujące wiersze: Orzeł Biały, Polonez Kościuszki, Hymn Słowackiego: Bogarodzica, Mazur Pobratymczy Starzyńskiego (coś dla „Lecha“, bo tam mowa o braterstwie Polaków i Czechów) itd.

Miałem sobie za obowiązek dopełnić tą wzmianką życiorys mego kolegi z 1831 r., a może ktoś inny lepiéj opisze jego udział w pamiętnym boju o naszą niepodległość.

*Wiarus z pod Lechowéj Góry.*

## Tadeusz Czacki.

Czacki należy do tych zasłużonych synów Polski, którym jeszcze późna potomność pomniki stawiać będzie. Mamy wielu sławnych wojowników, wieszczów, uczonych, ale jakżeż mało Czackich! Szkoła w Krzemieńcu, która tyle dobroczynnego światła rozlała w narodzie, świadczyć będzie na zawsze o wielkiém poświęceniu Tadeusza, choć i w innych kierunkach położył on niespożyte zasługi. Był to wielki, bardzo wielki krzewiciel oświaty w ziemiach polskich, przytem człowiek zacny, prawy charakter, mąż uczony i pracowity. Nie doczekał się jeszcze, jak wielu naszych zasłużonych pracowników odpowiedniego życiorysu. Urodził się 1750 r. † 1813 r. Słusznie o nim powiedziano:

Z jego wpływu i pracy mieć będą prawnuki,
Dwie pamiątki najdroższe: język i nauki.

## ŁAMIGŁÓWKA.

*Pierwsze* na wiosnę często robi szkody,
*Drugie* w kieszeni ma stary i młody
Wspak odczytane zaś ostatnie *trzecie*
Oznacza pewną głoskę w alfabecie.
*Pierwsze i trzecie* jest gatunek ptaków
Całość nazwisko — drogie dla Polaków.

*W. Fiatek. Poznań.*

**Treść Lecha nr. 37.** Kilka mniéj znanych szczegółów o Zygmuncie Krasińskim. Staszic w pochodach swoich po górach Karpackich. (C. d.) Parafialna Wieszczka. Nowella. Napisał Tadeusz Zaremba. Czerwona sala w pałacu Działyńskich (Dok.) Dopełnienie życiorysu K. Wójcickiego przez Wiarusa z pod Lechowéj Góry. Tadeusz Czacki (z ryciną). Łamigłówka.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.